

Łukasz Czeszumski

**KREW WOJOWNIKÓW**

**TOM V**

**ZAPOMNIANY  
KONKWISTADOR**

*Wszystko, co wydarzyło się po cudownym odkryciu Ameryk, było tak zadziwiające, że te historie wydają się nieprawdopodobne dla każdego, kto nie widział tych rzeczy na własne oczy*

**Bartolomé de Las Casas, *Historia de las Indias***

*Postanowił udać się do Indii, które są przystanią i schroniskiem dla wszystkich szaleńców Hiszpanii, kościołem bankrutów, kryjówką dla zabójców, przynętą dla kobiet lekkich obyczajów, złudną nadzieją dla większości i skutecznym ratunkiem dla niewielu*

**Cervantes, *Zazdrosny Estremadurczyk***

## ROZDZIAŁ II - FRAGMENT

### MUNAY

Pierwszą wizję Munay miała w wieku czternastu lat.

Stało się to w kamiennej świątyni na szczycie góry, jednej z tych gór, których zbocza niemal zawsze pokrywały kłęby gęstej mgły.

W świątyni zebrali się dostojnicy i sam władca, który przybył specjalnie na tę okazję. Niezwykłe zjawisko miało miejsce dzięki zdarzającemu się tylko raz na kilka lat układowi gwiazd i słońca. Dostojnicy stali w dwóch pierścieniach koła, każdy odziany w długie ponczo z wikunii, śnieżnobiałe z czerwonymi i niebieskimi wzorami, każdy z rozciągniętymi uszami, będącymi symbolem ich pozycji. W centrum stał inka. Na jego głowie święte *borla* ozdobione wyobrażeniem Intiego. Jego *borla*, obręcz na szyi i trzymana w ręku pałeczka były wykonane z połyskliwego metalu zwanego łzami słońca. Stał w bezruchu, wiatr poruszał połami jego peleryny. Był piękny, niczym uosobienie mądrości, ze swoim orlim nosem i mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Jego wielkie czarne oczy wpatrywały się w otwór w dachu, w którym miał ukazać się jego ojciec, stwórciel.

Tak jak przepowiedziano, o wyznaczonej porze mgły spłynęły do dolin, a promienie słońca przedostały się przez otwór i oświetliły postać władcy. Wzniósł ręce w górę,

błyszcząc w ich blasku, uniósł do tych promieni uśmiechniętą twarz. Cud się dokonał, władca został pozdrowiony przez swego ojca i stwórcy.

A Munay straciła przytomność i przewróciła się na posadzkę. I leżała na wznak, gdyż nikt, nawet jej własny ojciec, nie odważył się ruszyć z miejsca, aby nie zaburzyć perfekcji rytuału. Leżała tak, dopóki światłość nie zniknęła z otworu świątyni i nie przestała opromieniać inki. Światłość przeszła i znowu wszystko stało się półmroczne i szare, a na zewnątrz mgły płynęły na powrót z dolin do szczytów, przesłaniając słońce. Dopiero wtedy ojciec podszedł ocucić dziewczynkę, a arcykapłan spojrział ze złością i wypowiedział kilka złych słów. Zamilkł jednak na gest władcy, który sam zbliżył się do leżącego dziecka i położył mu swą dłoń na czole, a wtedy Munay odzyskała świadomość.

I zaczęła mówić nie swoim głosem. Opowiedziała, gdzie właśnie była, i opisała zadziwiające rzeczy, które tam widziała. Inka słuchał jej uważnie, trzymając jej głowę w dłoniach, słuchali też wszyscy dostojnicy i kapłani.

A Munay mówiła i mówiła. O tym, jak wzleciała wysoko ponad świat i dotarła w miejsce, gdzie otaczała ją tylko biała, gorąca światłość, która koła wszystkie bóle i napełniała duszę spokojem. Potem pod nią pojawiły się złe, skłębione mgły trzaskające piorunami. I przepowiedziała swoje proroctwo, które ujrzała we mgłach. Proroctwo, które wywołało strach nawet na obliczu inki, a kilku dostojników, słysząc je, zapłakało.

Jej słowa były tak dojrzałe, a wizja tak szczegółowa, że nikt w całej świątyni nie miał wątpliwości, że Munay miała wizję

zesłaną jej przez samo święte słońce, a jej wizja miała być ostrzeżeniem dla całego imperium Tahuantinsuyu.

To wtedy nadano jej imię Munay, oznaczające *miłością–która–rozmawia–ze–światem–ponad–nami*. Taki dar był niezwykle rzadki, a osoba, która była nim wyróżniona, podlegała obowiązkowi rozwijania się w swojej dziedzinie.

Musiała porzucić swój dom i życie, które wiodła, i poświęcić się wyłącznie zgłębianiu wiedzy i poszukiwaniu łączności z innymi rzeczywistościami.

Od tej chwili nie miały dotyczyć jej prawa obowiązujące lud ani dostojników, a wyłącznie prawa stworzone dla kapłanów boga Słońce. Nie mogła też mieć męża, rodzić dzieci ani przestawać z nikim fizycznie.

Przez wiele miesięcy w każdym roku musiała poświęcać się zgłębianiu arkanów sztuki poznania. Uczyć się jej od kapłanów i szamanów, od matki ziemi – Pachamamy, od wielkich *apus*, ośnieżonych szczytów, które były uosobieniem najwyższej mądrości. Uczyła się, wędrując po całym imperium i odwiedzając święte miejsca i ich duchy przewodnie. Uczyła się nawet od zmarłych władców, których mumie siedziały wciąż na tronach w pałacach w stolicy i którzy – mimo że przynależeli do świata umarłych – od czasu do czasu przekazywali żywym swoją wolę.

Jej pierwsza wizja, którą miała w świątyni, była ostrzeżeniem przed tym, że imperium może upaść z powodu gniewu bogów. Aby zażegnać zagrożenie, inka musiał złożyć bogom ofiarę. Kapłani wybrali księżniczkę Callę, młodą dziewczynę z wysokiego i zasłużonego rodu, która miała szesnaście lat. Taki los został jej przeznaczony jeszcze przed jej

narodzeniem, co wskazały jej rodzinie liczne znaki. Przez całe swe krótkie życie przygotowywana była do tego zaszczytu, którego nie wiadomo było, kiedy miała dostąpić. Teraz miesiącami przygotowywała się do zadania. Recytowała dawne inkantacje przodków, wielokrotnie przechodziła rytuały oczyszczenia i rytuały ognia. Była piękna i zdrowa, niewinna i z królewskiego rodu. Były to warunki konieczne, inaczej bogowie mogliby się rozgniewać, odrzucić dar i straszliwie się zemścić. Ale młoda Calla spełniała wszystkie warunki określone przez kapłanów. Dano jej kilka dni, aby spędziła je ze swoją rodziną i się z nią pożegnała. Potem zamknięto ją w największej świątyni słońca – Coricanchy, gdzie karmiono ją mięsem wikunii, świętym winem i liśćmi koki.

Całymi dniami Calla medytowała samotnie przed złotym dyskiem. Po tygodniu otwarto bramy świątyni i wsadzono ją na lektykę. Pięćdziesięciosobowy kondukt składający się z samych najwyższych kapłanów poniósł ją w wysokie, bezludne góry, do krainy władanej przez złych bogów. Były tam tylko szare, suche skały, ponure lasy, ciągle wiały wichry i padał lodowaty deszcz. Potem było jeszcze straszniej. Szli przez przełęcze, na których wichry wyły głosem potępionych, a w twarze sypały lodowate płatki śniegu. Arcykapłan idący na przedzie szedł z wonnym kadzidłem w jednym ręku, aby odganiać złe duchy, a drugi za nim zamiatał drogę przed konduktem, aby pokazać demonom, że oto idzie osoba uświęcona, której winne są szacunek. Księżniczka siedziała spokojnie w lektyce. W ustach trzymała święte liście koki, owoc Pachamamy, które dodawały jej sił i odwagi. Patrzyła na szary i pusty krajobraz. Czasem spoglądała do góry, gdzie

wznosiły się potężne skały i gdzie latały kondory. U szczytów gór kłębiły się mgły. Nie widać było ani skrawka słońca. Calla tęskniła za słońcem.

Ostatniego dnia wędrówki księżniczka odbyła post. Był to ostatni akt oczyszczenia. Spędziła bezsenną noc, myśląc o cieple i szczęściu, którym wypełniony jest Inti, o swoim szczęśliwym po wsze czasy życiu w jego wnętrzu. „Nie zrozumiesz tego, ale wyobraź sobie, jakbyś była poczwarką pszczoły w wielkim plastrze miodu. Wszystko, co będzie cię otaczać, to spełnienie, radosne trwanie, nieśmiertelność. Nikt cię stamtąd nie zabierze. Nikt nie odbierze ci szczęścia. Nie bój się, tylko raduj. Już wkrótce czeka cię ten uświęcony, radosny los” – tłumaczyła jej Munay kilka tygodni wcześniej, przygotowując ją do zadania.

Przed świtem księżniczka zeszła z lektyki i poprowadzili ją w górę, stromą i wąską ścieżką na skraju przepaści. Szła skupiona, bardzo spokojna, ostrożnie stawiając każdy krok. Jedno potknięcie lub nieopatrzone słowo mogło zaburzyć rytuał, zepsuć wszystko. Dotarli na szczyt skały. Czekala już tu platforma z gałęzi i liny. Weszła na platformę wraz z arcykapłanem, a dostojnicy chwycili za liny i popuszczali platformę dziesiątki łokci niżej, aż zrównała się ona z wejściem do jaskini. Księżniczka ostrożnie zeszła z platformy. Jaskinia była niewielka, głęboka na zaledwie kilka łokci. Na jej środku czekała już *manta*, uświęcona tkanina, na której księżniczka usiadła. Rozejrzała się na boki – stały tu już rzeczy, które miały jej służyć w dalszej drodze: liście koki, ziarna kukurydzy, dzban źródlanej wody. Gliniane figury wyobrażające jej ojca, matkę i braci. Piękne stroje z najdelikatniejszej wełny i liczne

ozdoby. I malutka figurka niedźwiadka wyrzeźbiona z drewna i pomalowana na kolor czystego nieba – amulet, który od dzieciństwa chronił ją przed wszelkim złem.

Calla była blada. Jej dłonie były zimne. Choć próbowała zachować spokój i była gotowa na dalszą podróż, bała się bólu i samego momentu przejścia. Jej dłonie zaczęły się lekko trząść.

– Oddychaj głęboko, patrz przed siebie. Zobacz, on już zaraz się tam pojawi – szepnął arcykapłan.

Spojrzała. Tymczasem on wiązał ją długimi wstęgami szkarłatnej tkaniny, aby została w pozycji siedzącej, z nogami podkurczonymi z przodu, łokciami opierającymi się o kolana i dłońmi po bokach głowy, niczym płód w brzuchu matki. Tkanina szeleściła, kolejne pętle zawijały się wokół ziemskiej powłoki Calli i po chwili spod szkarłatu pachnącego kadzidłem była widoczna tylko jej głowa. Wciąż patrzyła przed siebie, tak jak poradził jej arcykapłan.

Przed jaskinią rozciągała się wielka zielona dolina. Przecinały ją liczne rzeki i skalne kaniony. A daleko, daleko z przodu znad ośnieżonych szczytów pokazały się pierwsze promienie słońca. Widząc je, uśmiechnęła się. Wyobraziła sobie, jak będzie przelatywać przez kosmiczną otchłań, a potem zamieni się w szczęśliwą poczwarkę w plastrze miodu. Słyszała znowu słowa Munay i czuła jej obecność. Zdawało jej się, że Munay jest tuż obok, w tej jaskini, łagodnym głosem szepce na ucho, dotykiem dodaje jej otuchy. Wielkie, łagodne oczy księżniczki Calli wpatrywały się jak zahipnotyzowane w horyzont, w złoty dysk słońca, który wyłaniał się zza gór. Poczwała na twarzy jego blask, jego ciepło. Uśmiechnęła się z radością.

(...)

## GĄSZCZ

Zaraz za wąską plażą zaczynał się zbity i wybujały gąszcz dżungli, który wznosił się niczym góry. Zieloność była tak gęsta i pełna liści, gałęzi, zwisających jak liny pnączy, że nawet nie było widać pni tych drzew, mało tego – zdawało się, że nie sposób tam w ogóle wejść. Z tej gęstwiny nawoływały niepokojące dźwięki: pokrzykiwania tajemniczych zwierząt, charkoty, trzaski.

Cztery galeony przez miesiąc pływały wzdłuż wybrzeża, szukając śladów ludzkiej bytności. Załogi od dawna traciły cierpliwość. Kapitan Ordas ze szpadą w ręku stał nad starym Felipem, który pokazywał palcem i szukał miejsca, w którym wydostał się na brzeg rok wcześniej. Po miesiącu nikt nie ufał temu szaleńcowi w poszarpanym odzieniu, o pokrytym bliznami szkieletowatym ciele i wytrzeszczonych oczach.

– To tu! – krzyknął stary Felipe pewnego dnia. – To na pewno tu! Poznaję tę zatokę. Poznaję to wzgórze na brzegu. Tam jest to miejsce, o którym opowiadałem...

– Szykować łódź! – krzyknął kapitan. – Pójdzie Harvald, Felipe i was trzech. Przekonamy się, co słowa Felipego są warte. – Zastanowił się chwilę, po czym dodał cichszym głosem: – Macie szukać Indian, aż ich znajdziecie. Będziemy czekać na was.

Harvald pokiwał głową. Machnął ręką na swoich żołnierzy. Zaczęli schodzić do łodzi.

– Kapitanie, szybko wrócimy. Jestem pewny, że to tu! – zaklinał Felipe. – Tutaj wydostałem się na brzeg. Poznaje tę zatokę i to wzgórze. Tam żyją ludzie! Na tym wzgórzu jest indiańska wioska!

Napierali na wiosła, kierując łódź do gęsto porośniętego brzegu. Żołnierze, każdy w stalowym pancerzu i morionie, u boku sztylet i miecz, na plecach bukłak z wodą. Twarze brązowe od palącego słońca, usta zacięte, złe spojrzenia. Jeden zabrał, na rozkaz kapitana, arkebuz z prochowni. Ten nie wiosłował. Nabił go i teraz trzymał wysoko, aby go nie zmoczyły bryzgami wody. Jedynie Felipe nie miał zbroi ani hełmu, jego odzieniem była połatana koszula i zdarte pantalone. Nie miał nawet butów, choć niektórzy żartowali, że jego stopy, pokryte grubą skórą i niemal czarne, po latach w Nowym Świecie zamieniły się w „wieczne buty”. Za pasem z prostego powrozu miał jedyne, co posiadał – stalowy nóż.

Stary Felipe od razu przejął rolę przewodnika. Tłumaczył podniesionym tonem wiosłującym, że trzeba podejść do brzegu omijając mielizny i głazy, czyli to, o czym doskonale wiedzieli. Pod dnem zaszurała mielizna. Weszli do wody i wyciągnęli łódź na brzeg, stękając z wysiłku. Dziwnie było mieć pod stopami nie rozhuśtany pokład, a miękki piach. Świat kręcił się w głowie, co jeszcze wzmagane było przez gorąco i wilgotny zapach potężnego lasu. Harvald stanął z mieczem w dłoni przed niewzruszoną ścianą zieloności. Wdychał parne, gęste powietrze. Z gęstwy słyszał skrzek ptaków. Miał dziwne wrażenie, że ktoś obserwuje ich spomiędzy gęstwiny liści. Zastanawiał się, jakież to stwory mogą się kryć w tych zaroślach, obserwując każdy ich ruch i krok.

– Wejdziemy na szczyt wzgórza, aby się rozejrzeć – zadysponował.

Felipe energicznie pokiwał głową.

– To tam! – powiedział z podnieceniem. – Mówiłem, że pamiętam o wzgórzu. Na jego szczycie jest wioska. Mają tam wysoki pał rzeźbiony we wzory. Mają tam chaty wybudowane z drewna i trzciny. Pożywienia pod dostatkiem. Wielu ludzi. Kobiety z odkrytymi piersiami! Na Boga, mają też złoto. Widziałem tam złoto...

– Naprzód! – rozkazał Harvald. Pchnął Felipego przodem, sam ruszył za nim, a żołnierze gęsiego z tyłu.

Felipe ruszył niemal biegiem. Rozgarnął zarośla na brzegu i zagłębił się w las. Wskazał na ziemię, mówiąc, że jest tu ścieżka. Choć Harvald wytrzeszczał wzrok, żadnej ścieżki nie widział. Felipe jednak był przekonany, że ona istnieje. Odgarniał gałęzie z drogi i kroczył pewnie naprzód. Pokazywał palcem i mamrotał półgłosem swoje zaklęcia.

Dziwny to był las. Co chwilę trzeba było wycinać mieczem kolczaste zarośla, aby tylko móc przemieszczać się do przodu. Nogi co rusz zagłębiały się po kostkę, a czasem i po goleń w cuchnące błoto wypełnione ciepłą mulistą wodą i gnijącymi resztkami.

„Jakże łatwo się tu zagubić” – stwierdził Harvald. Kilka kroków w bok i można byłoby nie odnaleźć już drogi z powrotem. Macki zarośli zasłoniłyby zielonym dywanem ślady i nawet wprawny tropiciel nie byłoby w stanie ich dostrzec.

– Felipe, gnido! Jak możesz być pewien, że idziemy w kierunku wzgórza, skoro nic tu nie widać? – krzyknął gniewnie arkebuzer.

– Zamknąć się i maszerować! – uciszył go Harvald.

Szli przez dłuższy czas w ciszy. Stopy brodziły w błocie, kąsały ich komary, spływali potem. Felipe prowadził, pogwizdując, a czasem mamrocząc jakieś słowa i zdania w niezrozumiałym języku. Był szaleńcem, ale Harvald stwierdził, że szlak, którym podążali, wznosi się, robi się stromy. A więc istotnie wspinali się na wzgórze.

– Uważajcie, bo diabeł ogarnia umysły tych, którzy zejda ze ścieżki – odezwał się naraz Felipe i zatrzymał się. Pokazał palcem wokół. – To te szatańskie drzewa. *Indios* powiadają, że każde z drzew ma swoją duszę i wolę, i na Boga, wiedzą, co mówią! Te drzewa mają wędrowców, szepczą im do ucha przekłete obietnice, kierują w złym kierunku. Już niejednemu z naszych się to zdarzyło. Na przykład taki Niemiec, Horst. Zasłuchał się w to, co mówiły do niego drzewa, a potem pobiegł w las i nigdy nie wrócił. Czasem nocami słyhać jęki ze środka lasu. To ludzie, którzy zostali pochłonięci przez gęstwinę, a ich dusze stały się upiorami. Błądzą i nie potrafią już wrócić do wybrzeża.

– Żaden nie wrócił? – zapytał ten od arkebuza, teraz ściskający broń w spoconych rękach i rozglądający się czujnie.

– Pewnie Indianie ich zaciukali – stwierdził Harvald, wzruszając ramionami.

– Żaden nie wrócił z tych, co pobłądzili w tym lesie! – wykrzyknął Felipe, aż jakieś ptaki poderwały się z drzew. – Kto wyszedł z wioski w pojedynkę, ten nie przeżył. Drzewa ich wzywały, rozumiesz? Sami Indianie powiadają, że ten las jest przeklęty i nigdy nie wchodzi do niego w pojedynkę. Kto zejdzie ze ścieżki, tego las pożre, a jego upiór będzie się błakał.

– Dobrze, ruszajmy na wzgórze – rozkazał Harvald. Dosłyszał arkebuzera, który obiecywał pozostałym, że gdy tylko wrócą do okrętu, obędzie Felipego ze skóry.

Idąc pod górę, brodzili w czarnym błocie, pocąc się obficie i zaczepiając ubraniami o wszechobecne kolczaste gałęzie. Mimo że uszli zaledwie kilkaset kroków od wybrzeża, byli już cali spoceni i zziębnięci. Przez długi rejs nogi odzwyczaiły się od maszerowania, a upał, na morzu chłodzony wiatrem, tu, w dżungli, był nie do wytrzymania, stęchły i gęsty. To było bagienne, trujące powietrze, w jakim lęgło się masowo robactwo i moskity. Rozglądali się trwożnie wokół, spodziewając się zasadzki albo dzikiego zwierza, który mógł wyskoczyć na nich w każdej chwili.

Harvald wpatrywał się w chude plecy Felipego, który zapamiętale parł między krzakami, odgarniał gałęzie, mówił do siebie. Felipe nie miał jeszcze czterdziestu lat, ale wyglądał niczym starzec. Zabrali go z osady Coro, bo twierdził, że jest jedynym ocalałym członkiem wyprawy, która rok wcześniej zagłębiła się w te dżungle. Wyruszyły ich wtedy dwa tuziny. Chcieli szukać złota. Nie mieli dowódcy ani patentu od króla. Tylko starą barkę i trochę broni. Wpłynęli w rzekę, potem przemieszczali się pieszo.

Trudno było powiedzieć, co potem się wydarzyło. Felipe relacjonując wyprawę, ciągle gadał od rzeczy, zmieniał wersje. Raz mówił, że topili się na bagnach, raz, że wybijali ich Indianie, wystrzeliwując zatrute strzały, raz, że wielu pożarły demony dżungli albo sam las. Mówił też, że trafili w głębi lasu na indiańskie imperium. Na miasta większe od Sewilli, posiadające armie i metalowe narzędzia, świątynie zbudowane

ze złota. I że kraina ta miała jednookiego króla, odzianego w złoty pancerz. Felipe nie pamiętał, jak daleko było to miasto od wybrzeża. Tydzień, miesiąc drogi, trzy miesiące? Ile razy go zapytać, tyle razy otrzymywało się inną odpowiedź. Jedyne, co było pewne, to że wrócił sam (...)

**Książka** Krew wojowników tom V: Zapomniany konkwistador można nabyć przez stronę autorską [www.czeszumski.com](http://www.czeszumski.com)

**Data premiery książki:** 10 września 2024

**550 stron, oprawa twarda.**

**ISBN:** 978-83-964077-6-4

**Cena oficjalna:** 79,90

**Cena w przedsprzedaży:** 44,90